

O D CZASÓW Mollera dramaturgia uczyniła wielki krok naprzód. A przecież stary Moller jest na naszych scenach nadal gwiazdą pierwszej wielkości, nadal zachwyca, śmieszy i, co najważniejsze, skutkuje, bo chociaż od powstania „Świętoszka“ minęło już bez mała 200 lat, problem, który porusza, chociaż w zmienionych warunkach i innych proporcjach, nadal jest jeszcze aktualny.

Wiele hektolitrow atrymentu przelano opiewając w różnych jązykach bogactwo talentu Mollera, śledząc przyczyny jego wielkości, analizując istotę jego sztuki. Dolanie jeszcze pół kalamarza ani mu zaszkodzi, ani też pomoże. Zrezygnujemy więc z tego zabiegu. Nazwisko autora i tytuł sztuki same przez się stanowią magnes dla widza, gwarantują mu z godziny śmiechu pierwszej jakości, śmiechu z wyraźnym nakierowanym ostrzem — przeciw obłudzie i wstecnictwu.

„Świętoszek“ w Teatrze Młodego Widza stał się dla tego teatru wydarzeniem dużej miary. Dawno nie widzieliśmy w „Młodym Widzu“ tak dobrego przedstawienia, jak premierowy spektakl „Świętoszka“. Doprawdy wierzyć się nie chciało, że to ten sam teatr, w którym jeszcze niedawno wystawiano „Sprawę o przewisko“ i „Sześć godzin ciemności“ „Świętoszek“ na premierze stanowił dowód stałe rosnących możliwości teatru, był sukcesem nowego kierownictwa i całego zespołu w walce o teatr z prawdziwego zdarzenia.

W późniejszych spektaklach „Świętoszek“ staje się zwierciadłem poważnych trudności, jakie ciągle jeszcze Teatr Młodego Widza musi pokonywać. Ale o tym po tym.

Wśród wrażeń, które wynosi się ze spektaklu, najsilniejsze to podziw dla bezprzykładnej odwagi pisarza, który w czasie, kiedy

Stanisław Kuszewski

„ŚWIĘTOSZEK“ — dzieło odwagi

reakcyjny kler (a jezuitami jako szturmowym swodem oddziałem na czele) wywierał tak przemożny wpływ na życie Francji, nie bał się rzucić mu w twarz oskarżenia, wydrwił go i ośmieszył. Bo szalbierz — Tartufe osłaniający swe brudne interesy interesem nieba, powiadający, że „zło naszych postępków w ich rozgłosie leży“, że „wcale ten nie grzeszy, kto grzeszy w sekrecie“ to typowy jezuita.

Kto nie wierzy, niechaj śledzić zacznie przebieg nagonki na pisarza rozpętanej przez francuską reakcję klerykałną. Widać poważnie czuła się dotknięta w swych najbardziej żywotnych interesach, kiedy z taką energią domagała się zdjęcia sztuki z królewskiej sceny.

Ostrze mollerowskiego oskarżenia zostało we wrocławskim „Świętoszku“ w pełni i po nowatorsku wyduchane. Jest w tym zasługa zarówno koncepcji reżyserskiej Krystyny Berwińskiej, jak i naprawdę dobrej gry Janusza Obidowicza. Stworzył on postać jednolitą, przekonującą, daleko odbiegającą od jego dotychczasowych prac aktorskich. Uniknął przerysowań, nie puścił się na farsowe glerki. Obnażył całą niczość moralną Tartufa odważając na aptekarskiej wadze środki aktorskie, jakie przyszło mu tu zastosować. Chciwy, drapieżny obłudnik Tartufe w jego wykonaniu nie przestaje być groźny nawet wtedy, gdy wędruje do więzienia. Bo sprawa nie kończy się wraz z komedią. Zniknął jeden „Świętoszek“ — pozostało jeszcze wielu.

Bardzo dobre aktorsko są akty III i IV. Anna Chodakowska jako Elmira potrafiła wprawdzie swą rolę

trochę nazbyt jednostronnie. Nikt na widowni np. nie uwierzy, że oburza ją strata majątku niebacznie przepisanego Tartufowi przez męża. Ale scenę z Tartufem zrobiła świetnie.

Dwie Doryny wniosły ze sobą na scenę dwie różne koncepcje. Krystyna Łubieńska ma lepsze warunki, aby podołać tej roli. Nadużyła ich jednak. Przydało to sztuce wiele życia, rumieńców, wzmocniło tempo, ale stworzyło kilka sytuacji nieprawdopodobnych. Doryna — uosobienie ludowej mądrości i trzeźwego rozsądku, subretka przerastająca wyraźnie inteligencją wszystkich domowników, jest jednak subretką. Pan jest od niej głupszy, ale zawsze może ją wyrzucić na bruk i w tym tkwi jego przewaga. Doryna Łubieńskiej zapomniała o tej prawdzie.

Daniela Makulska koncepcyjnie lepiej rozwiązała tę

rolę. Cóż, kiedy jej Dorynie brakło znow temperamentu i determinacji.

Dwie różne Doryny wniosły właściwie dwie różne koncepcje całego spektaklu. Orgon (Bronisław Broński) w pierwszej jest niemal pajacem (co udanie podkreśla kostium, w jaki go wyposażono) a konflikt między ojcem a córką (kiedy oznajmia jej, że zostanie żoną Tartufa) w tych warunkach nie czyni na widzu większego wrażenia. Trudno uwierzyć, aby pan, któremu służąca jeździ, jak chce, po głowie, miał w domu jakąkolwiek władzę.

W drugiej koncepcji rzecz ma się zgola inaczej. O tyle to jest ważne, że im ostrzejsze konflikty powoduje Tartufe, tym bardziej na wierzch wychodzi jego lotrostwo. Niestety liczne zastępstwa znacznie obniżają wartość artystyczną spektaklu.

Poważne pretensje zgłasza-

my do Tadeusza Skorulskiego (Kleant), który dał się porwać melodyce wiersza mollerowskiego, zwrócił szczególną uwagę na gładkość i potoczność wiersza gubiąc przy tym logiczne akcenty. Kleant — racjonalista, człowiek trzeźwo myślący, usiłuje przez konać Orgona logiką swojej argumentacji. A wiele jest tam pięknych argumentów. Niestety, Skorulski nie potrafił wyodrębnić ich i przekazać widzowi. Pozostali wykonawcy: Jadwiga Halkiewiczowa (matka Orgona), Bogumił Kłodkowski (Damis) i Tadeusz Kamberski (Walery) dobrze wywiązują się ze swych zadań.

„Świętoszek“ dostarcza obecnie dyrekcji teatru tyleż satysfakcji co kłopotu. Mnogość się nie zawsze udane zastępstwa. Chodzą słuchy, że Obidowicza czeka nowa premiera, tym razem w Teatrze Polskim („Tartufe“ musiałby chyba wówczas zejść z afisza). Ale jakkolwiek to dalej będzie wyglądało, powodzenie pierwszych przedstawień „Świętoszka“ wzmocni wiarę zespołu (i dyrekcji) we własne siły i słuszność obranej drogi.

Stanisław Kuszewski